

Kultura z cenzurem? Dobrze — ale co dalej?

A więc postanowiono: kierownicy Wydziałów i Oddziałów Kultury muszą mieć przygotowane fachowe. To znaczy: ukończone studia w tym zakresie. W województwach utworzono już komisje, które zajmą się weryfikacją kwalifikacji ludzi, którzy mają kierować przejawami życia kulturalno-artystycznego w miastach dużych oraz na tzw. prowincji.

Posunięcie jak najbardziej słuszne. Problem nabrzmiał zresztą nie od dziś, choć nie zawsze chciano widzieć go tak wyraźnie. Wręcz przeciwnie. Niepisana nigdy, ale za to w praktyce bardzo żywna zasada sprowadzała się do przekonania, że „na kulturze nie trzeba się znać — wystarczy w niej robić. Bywało nawet, że do „robienia w kulturze” kierowano tych, którzy nie potrafili „robić w skupie” czy „w związkach zawodowych”. Ci Bogu ducha winni ludzie robili, jak umieli. A że na ogół niewiele umieli — zdarzały się więc w terenie zwłaszcza, rozmaitości.

Z czasem jednak rozmakowywali się w tej robocie. Mimo kiepskich pensji, mimo bardzo szczupłych możliwości. Rozmakowywali się, poznawali potrzeby terenu, poznawali ludzi, jeździli z zespołami zakurzonymi ciężarówkami, biegali, uzgadniali, organizowali.

Zaiste — niełatwy będzie miała komisja weryfikacyjna orzech do zgryzienia. Tam, gdzie obok braku minimum wykształcenia napotka na brak zainteresowania trudno — trzeba się będzie pożegnać. Ale jak postąpić w innych wypadkach? Co winno przeważać? Znajomość pracy i środowiska, czy wykształcenie? Praktyka czy teoria? Co jest ważniejsze?

Trudna to sprawa. I z pewnością trzeba podejść do niej bardzo delikatnie. A przede wszystkim — indywidualnie. Bo przecież nie można oczekiwać cudu, który spłynie na naszą ziemię w chwili, kiedy w wydziałach i oddziałach kultury zasiadają ludzie z cenzurą. Naiwnością byłoby mniemanie, że od tej chwili spadnie manna kultury na nasze powiatowe miasteczka, że wszyscy pijacy rzucą się w te pędy do bibliotek, a reszta zamiast grać w Totka zacznie grać Hamleta.

Nie ma czasu upłynię, zanim ci nowi ludzie poznają środowisko, w którym mają działać, i — co o wiele trudniejsze — zanim zdołają jego zaufanie i poparcie. Nie jedni patrząc będą na nich spod łba: „Patrzel, to ten uczony, co ma nam pokazać, jak wygląda prawdziwa kultura...”

Nie sprawa nie jest prosta. I byłoby bardzo niedobrze, gdyby rozstrzygnięto ją na łap-capu. Doświadczenie bowiem uczy, że od najsłuszniejszej nawet decyzji często bardziej decydujący wpływ ma sposób jej przeprowadzenia.

Tradycje kulturalnego Kopciuszka

Mówiło się — i teraz także — że brak takich głosów — że brak fachowości ludzi kierujących kulturą w terenie był przyczyną niejednej

kompromitującej gąfy. Myślę, tego rodzaju argumentami. że o wiele więcej głupstw popełniano wówczas na szczeblach wyższych — z ministerialnym włącznie. Wobec nich jakże błąd wyglądał fakt, że któryś z kierowników powiatowego Oddziału Kultury nie wiedział kto to był Byron czy Trembecki. Nie podpierajmy słuszności nowego posunięcia

ła ona rzeczywistego, szerokiego wpływu na cały zespół zjawisk kulturalnych terenu, w którym przyjdzie im działać.

Klucz do efektywnego kierowania rozwojem kultury tkwi bowiem nie tylko w samych kadrach, lecz w możliwościach ich działania.

Kilka lat temu miałem sposobność trzymiesięcznej, bliskiej obserwacji pracy Oddziału Kultury w jednym z miast powiatowych Wielkopolski. Miasto to miało stare tradycje kulturalne („panie, u nas przed wojną nawet całe operetki wystawiano!”). W tym czasie operetki tam nie było — istniały natomiast liczne i zupełnie niezłe zespoły amatorskie, które skupiały wiele młodzieży, stwarzając jej możliwości kulturalnego wyzicia się. Szczerze podziwiałem te młode dziewczęta i młodych chłop-ców, jeżdżących, deszcz nie deszcz, mróz nie mróz, po zapadłych wioskach. Szczerze podziwiałem również kierownika Oddziału Kultury — właśnie człowieka „z sercem” i „drygiem” do tych spraw. Z drugiej jednak strony niejednemu z widzów, jak ogarnia go zniechęcenie i jak klinie tę swoją kulturalną robotę do wszystkich diabłów. Bo czymże do niedawna były powiatowe Oddziały Kultury? Oprócz sporządzenia Wielo-arkuszowych sprawozdań, kierownik Oddziału szarpał się w nawale zajęć czysto organizacyjnych: biegał o samochody, o załatwienie dziury w dachu, wyklócał się o materiały na dekoracje sal na akademie, stemplował zezwolenia na zabawy wiejskie (opłatę zresztą inkasował Wydział Organizacyjny, natomiast jeżeli komuś rozbito szcękę na takiej zabawie, co zresztą należy do naszej tradycji — wówczas przypominało sobie, że zezwolenie wydał Oddział Kultury). Władze Prezydium PRN nie traktowały Oddziału poważnie. Rolnictwo, budownictwo, oświata nawet — tak, to były poważne sprawy, ale kultura? Za kulturę się nie było. Zresztą pospacerujcie po naszych PRN — gdzie mieszczą się te Oddziały Kultury? Przeważnie w małych kłitkach pod schodami lub na poddaszach, w zadziwiającej bliskości pożytecznych

Konrad Hel

LUBINOWA KABAŁA

Lato. Pachnący łubin.
Wróżę sobie, tłumaczę —
kocha — szanuje — lubi?
(A może jeszcze inaczej?)

Inaczej? Może? Ale jak?
Więc kwiaty niebieskie skubię
i rośnie w sercu nadzieja,
opada płatkami łubin.

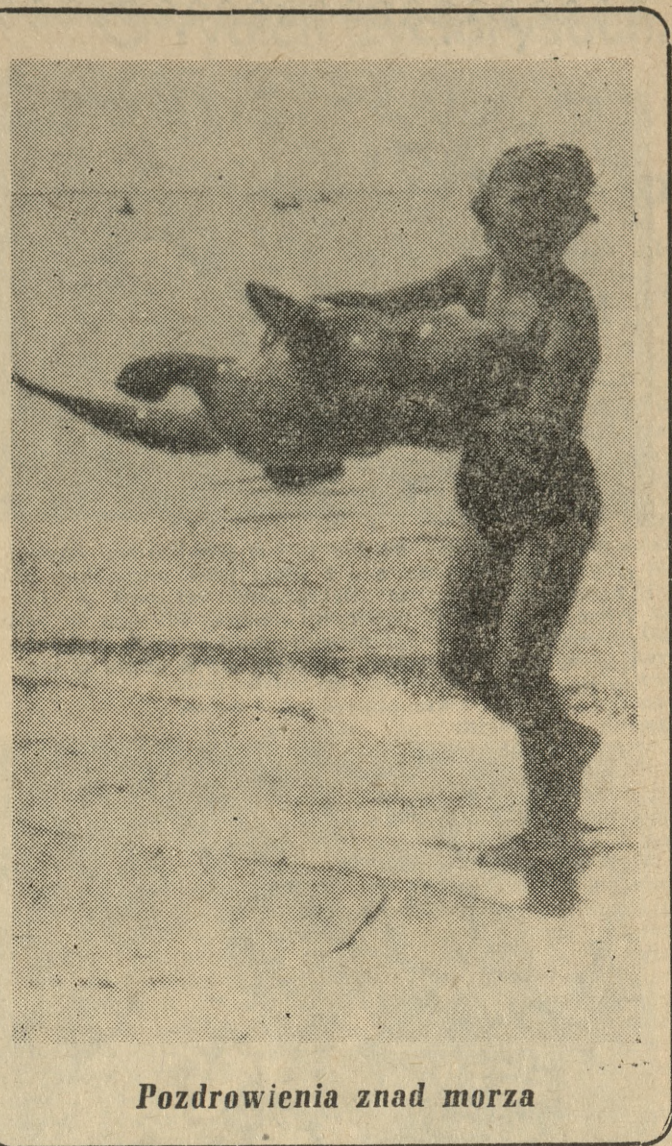
Kwiaty nic nie powiedzą.
Milczy niebieski łubin.
Zostaję z moją niewiedzą
najbardziej wiedzącym z ludzi...

Lato. Pachnący łubin...
W niebieskiej kabałce czytam —
kocha? szanuje? lubi?
spytać się Ciebie? Nie spytać?...

NA DOBRANOC — MALGORZATCE

Okienko twoje — latarenka,
pułapka trzepocących ciem
i drzewa co łagodnie kłęką
nad twoim domem i nad snem.

Świat twój malutkie ma bieguny,
którym nie uszedł dotąd nikt —
słyszysz? kołyszę drzewo szumem
swoją kształt przez szyby, aż do drzwi...



Pozdrowienia znad morza

skądinąd ubikacji z dwoma zera-mi...

To była tylko jedna strona medalu. Na drugiej można było odczytać długą listę spraw nader istotnych dla rozwoju kulturalnego terenu, na które kierownik Oddziału nie miał żadnego wpływu. Nie miał, bo mieć nie mógł. Funduszami na zespoły amatorskie rządziły zakłady pracy i związki zawodowe, i często kierownik patrzył bezsilnie, jak dobry zespół rozsypuje się, bo ktoś tam zdecydował, że zespół nie jest „potrzebny”. Innym natomiast „artystom” przewracało się w głowach — byli w „lepszym pionie”. Dalej: przyjeżdżał do miasteczka jakiś zespół wędrowny z kobietą z brodą czy innymi „światowymi atrakcjami”, pokazywał paperek podpisaną przez „góre” — i co, kobieta z brodą „szła” niezależnie od zdania kierownika Oddziału Kultury.

Przykłady można by mnożyć w nieskończoność. Kierownik Oddziału Kultury PRN mógł mieć doktorat artystycznej uczelni — i nie wiele by zdziałał. Mogłby najwyżej częściej zgrzytać zębami.

O wpływ faktyczny — nie formalny

Powiecie, że przecież wiele się zmieniło. Zapewne. Ale czy obok zmian form pracy kulturalnej w terenie, rola powiatowych Oddziałów Kul-

tury również wzrosła proporcjonalnie do zadań, jakie obecnie mają one spełniać? Czy kierownicy tych Oddziałów, którymi mają być teraz ludzie kompetentni i fachowi, będą rzeczywiście mieli zasadniczy wpływ na wszystko to, co dzieje się na ich podwórku? Czy sam fakt posiadania cenzuru wystarczy?

Nie chciałbym, aby to, co piszę rozumiano jako wotum nieufności wobec decyzji weryfikacji i zmian kadrowych, jakie w związku z nią nastąpią. Nie chcę bronić niekompetencji. Ale same zmiany kadrowe niewiele pomogą, jeżeli nie będą im towarzyszyły kroki, zmierzające do nadania Oddziałom Kultury szerszych uprawnień, możliwości wpływu (teraz już faktycznego) na wszystkie zjawiska formy działalności kulturalnej na ich terenie. Słowem — chodzi o podniesienie rangi tych Oddziałów, o zapewnienie im roli gospodarza kulturalnego o rozwój decentralizacji.

Jasne, że i tego nie można załatwić na kolanie. Ale właśnie teraz nadarza się wspaniała okazja, aby o tym pomyśleć. Niechaj nowi ludzie — a także ci, którzy pozostaną — będą mieli odpowiedzialny start. To ich uchroni od zniechęcenia i pozwoli na śmielsze poszukiwanie nowych form działalności kulturalnej, pozwoli na pełniejsze wykorzystanie ich fachowej wiedzy. A roboty rzeczywiście będą mieli niemało.

Janusz BINIEK

Tym, czym dla Wielkopolski w długich latach niewoli było Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk, które oświecało światem wiedzy społeczeństwo zaboru pruskiego, stał się w życiu gospodarczym Wielkiego Księstwa Poznańskiego „Bazar”, którego 120-lecie powstania przypada na rok bieżący.

Eksterminacyjna polityka pruska była jeszcze na początku XIX wieku w zarysach. Nadprezydent Flottwell, który zarządzał Wielkim Księstwem Poznańskim, określił w swym memoriale zadanie, jakie ma do spełnienia w sposób następujący: „Najjaśniejszy Pan rozkazem gabinetowym z dnia 13 marca 1833 roku raczył nakazać, aby większe dobra wystawione na sprzedaż przez licytację, a szczególnie nadające się na odprzedaż, zakupywane były na rachunek państwa i po dokonanej regulacji z chłopami sprzedawane były zamożnym, inteligentnym i prawomyslnym nabywcom niemieckiego pochodzenia.”

Zagrożone w swych podstawach materialnych ziemianstwo szukało oporu z jednej strony w polityce ugody, a z drugiej — w organizowaniu życia gospodarczego. Stan średni — mieszczaństwo nie przedstawiało jeszcze poważnej siły i należało je dopiero stworzyć i rozwinąć, aby mogło zająć w społeczeństwie polskim odpowiednie miejsce i bronić się przed naporem obcego i wrogiego żywiołu niemieckiego.

Kierując się tą myślą, 26 czerwca 1838 roku z inicjatywy wielkiego działacza Karola Marcinkowskiego zawiązała się „spółka akcyjna na budowę hotelu, sali i bazaru czyli kramów”. Pod budowę gmachu wybrano plac przy ul. Nowej (obecnie Paderewskiego) i wzniesiono go przy narożnym domu Łąckich. Szczęśliwy wybór miejsca w rozbudowywanym się ku zachodowi miastu, zdecydował o powodzeniu „Bazaru”. Magistrat nie stawił żadnych przeszkód, zadowolony, że przybywa Poznańowi, wówczas zaledwie 30-tysięcznemu, nowy budynek. Łatwiej było jednak zebrać fundusze i wyciągnąć w górę mury, niż uzyskać zgodę wspomnianego już wielkopolskiego Flottwella, który widział w nowej spółce umocnienie polskości.

Zmienne były jednak metody rządów pruskich. Raz ostrzejsze, raz słabsze, zależnie od koniunktury między-

narodowej, a głównie od stosunków z Rosją. Gdy Fryderyk Wilhelm IV wstąpił na tron i przyjął przysięgę hołdowniczą deputacji stanów poznańskich, po wystąpieniu skargi na rządy Flottwella odpowiedział: „Narodowość polska nie ma być pokrzywdzona”. Flottwell przeniesiony został do Magdeburga, a na jego miejsce mianowano hr. Arnima - Boitzenburga. Ukazało się wówczas rozporządzenie o używaniu języka polskiego w sądownictwie, a „Bazar” mógł rozpocząć działalność.

W statutach spółki był paragraf, że 1/3 dochodów miała być obracana „na wzniesienie przymysłu, rękodzieł, rol-

120 LAT „BAZARU”

nictwa i handlu”. Innymi słowy „Bazar” miał dawać środki na podniesienie rolnictwa przez założenie odpowiedniej szkoły agronomicznej. Tu miał mieć ostoję słaby polski handel wobec zamożniejszych znacznie kupców niemieckich i żydowskich i tu szukać dróg rozwoju polski przemysł. „Bazar” miał wreszcie uruchomić kredyt na ratowanie ziemi polskiej. Dla realizacji zadań statutowych wybrano komitet, na którego czele stanął gen. Dezydery Chłapowski.

Nie zięli się wszystkie zamierzenia. Nie powstał bank kredytowy, ani instytut „dla uosposobienia doktrynych ekonomów, wóldarzy i owczarzy”. Ale „Bazar” dał zrebby materialne późniejszemu Towarzystwu Pomocy Naukowej, którego podzielenia zarządu i walne zebrania odbywały się w budynku Spółki, a z „kramów” szły pierwsze środki na jego rozwój. Jako stałe ognisko twórczej inicjatywy społecznej powstało Kasyno Polskie. Tworzyła

i księgarnia Stefańskiego była kuźnią drukowanego słowa polskiego.

Gdy tak najpiękniejsze nadzieje rokował „Bazar”, wybuchło powstanie 1846 r. Burza, która przeszła nad krajem nie oszczędzając „Bazaru”. Gmach zajęty był przez wiele miesięcy przez wojska pruskie, podobnie jak i w dwa lata później. Rządy „Bazaru” przeszły w ręce osób, które dbały przede wszystkim o jego dochodowość. Przyjęte zostały idee przewodnie jego założycieli. Trwało to, jednak niedługo. Gdy w Warszawie rzucono hasło pozytywizmu przeniknęło ono do Księstwa, tym bardziej, że powstała pomyślna koniunktura gospodarcza. Kapitał zakładowy skupił się wbrew interesom założycieli w ręku nielicznej grupy wielkich akcjonariuszy. Wydzielano wprawdzie kilka tysięcy na cele społeczne, jak na Tow. Pomocy Naukowej, Kółka Włościańskie i zrzeszenia kulturalne — lecz tylko tyle, byle stało się zadość intencjom założycieli „Bazaru”. Ugoda akcjonariuszy wobec zaborcy poszła tak daleko, że władze „Bazaru” kazaly dekorować gmach podczas bytności w Poznaniu Wilhelma II. Społeczeństwo silnie zareagowało na ugodość dyrekcji. Wywołało to przesilenie w zarządzie i dopiero wybuch pierwszej wojny światowej odwrócił uwagę od przykrego incydentu.

Pod koniec wojny „Bazar” miał znówu okres swej świetności. Gdy wybuchło Powstanie Wielkopolskie gmach jego, jako goszczący Paderewskiego i oficerów angielskich, był ośrodkiem początkowej walki i stał się chwilowo główną kwaterą walczących i polityków. Jego mury rozbrzmiewały gwarem obrad nad zagadnieniami odradzającego się państwa.

Dziś, po 120 latach, które upłynęły od jego założenia można stwierdzić, że „Bazar” był poza celami użytkowymi jego udziałowców — ośrodkiem organizowania się opinii narodowej. Tu odbywały się sejmiki oświatowe i gospodarcze, obchody i manifestacje, tu urabiali się i dojrzewały decyzje, dotyczące całej Wielkopolski. „Bazar” był i pozostał mimo przejęciowych okresów upadku — redutą polskości aż do dni niepodległości.

Henryk BARAŃSKI

„AMFITRION“ wiecznie aktualny



Wbrew pozorom zdjęcie to nie przedstawia kąpiei w Rusałce. Pochodzi ono z filmu prod. angielskiej pt. „Lodowate zimno w Aleksandrii” reżyserii J. Lee Thompsona ze znakomitym Johnem Millsem w roli głównej. Film ten był prezentowany ostatnio na festiwalu w Berlinie. Akcja jego toczy się w czasie II wojny światowej.



Maria Schell, którą pamiętamy ze świetnej roli w filmie „Ostatni most” występuje obok Christiana Marquanda w „Życiu” według Maupassanta, reżyserii Al. Astruca. Film ten jest ponoć bardzo ciekawy — sądzą, że ujrzymy go również na naszych ekranach.

Zasłużony polonista i sławista

Profesor Antoni Kalina urodził się w r. 1846 we wsi Krempa — powiat Ostrow Wlkp. Po ukończeniu gimnazjum w Ostrowie i w Srebrnie studiował filologię klasyczną, polonistykę i historię na uniwersytecie wrocławskim, a po trzech półroczach przeniósł się na uniwersytet berliński, gdzie też złożył egzamin nauczycielski z filologii klasycznej i historii. Doktoryzował się w 1872 roku w Halle, a przez pięć dalszych lat oddawał się studiom slawistycznym i porównawczemu językoznawstwu indoeuropejskiemu na uniwersytetach w Pradze, Belgradzie i Petersburgu. Wiedzę zdobył tam uzupełniając przez podróże przeważnie pieszo, odbywane po Czechach, Morawach, Śląsku, Węgrzech, Serbii, Bośni i Hercegowinie.

W roku 1878 habilitował się na uniwersytecie lwowskim, gdzie też później objął katedrę filologii słowiańskiej. Został również członkiem Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk i Polskiej Akademii Umiejętności oraz innych towarzystw naukowych. W roku 1894 był dziekanem wydziału filozoficznego, a w 1905 roku wybrano go rektorem uniwersytetu lwowskiego. Zmarł w roku 1906.

Wśród jego studiów, rozpraw, krytyk i recenzji są wydania nieznanych polskich zabytków językowych z rękopisów XV i XVI wieku, rozprawy gramatyczne, zbiory krytyczne i dzieła z zakresu historii języka, z których najważniejsze to „Historia języka polskiego”, obejmująca w pierwszym tomie „formy gramatyczne języka polskiego do końca XVIII wieku”. Praca ta, nagrodzona przez redakcję Biblioteki Warszawskiej, zawiera obfity, naukowo uporządkowany materiał do historii polskich form deklinacyjnych i koniugacyjnych, zebrany z bardzo wielu zabytków pisemnych i drukowanych. Ważne są też takie rozprawy, jak „O miękkich zgłoskach w języku staropolskim”, „Mowa kaszubska jako narzecze języka polskiego”, „O liczebnikach w języku staropolskim”, „Rozbiór krytyczny pieśni Bogardzica”, „W sprawie pisowni polskiej”, „Artykuły prawa magdeburskiego”, „Komedia o mięsopisie”, „Życie Jana Kochanowskiego”, „Żywot św. Wojciecha wobec historii” i wiele innych.

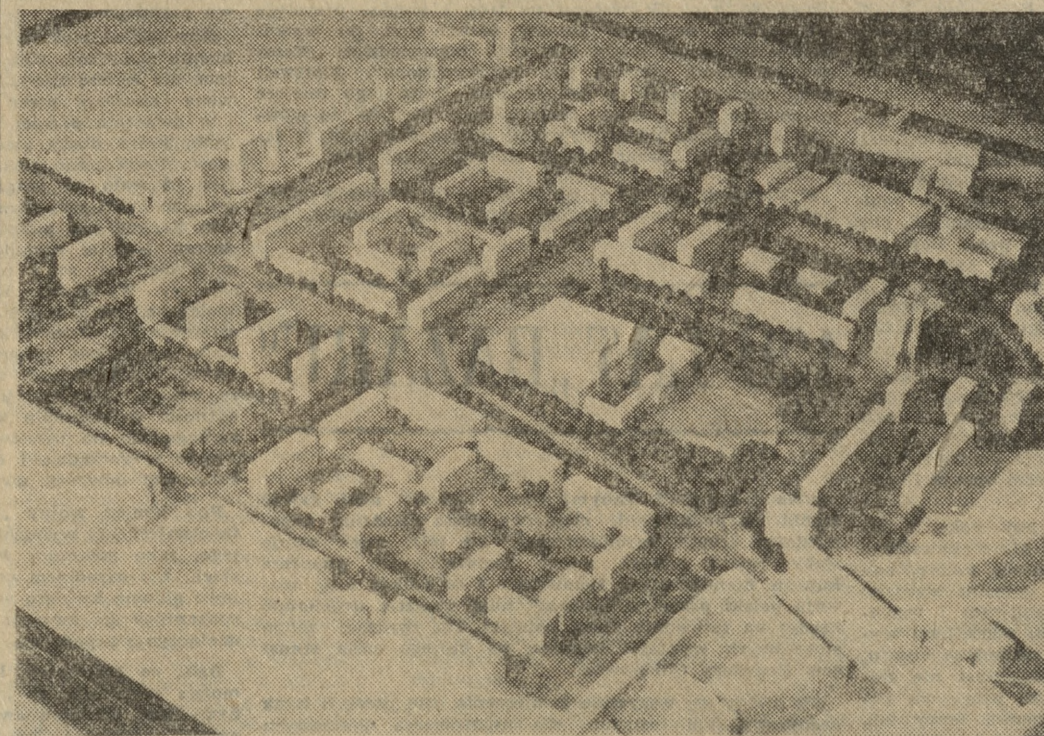
Z zakresu slawistyki ogłosił profesor Kalina dwutomowe dzieło pt. „Studia nad historią języka bułgarskiego” (za które otrzymał

srebrny medal od rządu bułgarskiego) oraz cenny gramatycznie opracowany zabytek języka Połabian z początku XVIII wieku pt. „Jana Parum Szulcego Słownik języka połabskiego”. Należą tu również rozprawy pt. „O wyneleżeniu pisma słowiańskiego przez św. Cyryla”, „W sprawie autentyczności rękopisu królowońskiego” i inne.

Wspomnieć tu jeszcze wypada o specjalnej pracy profesora Kaliny pt. „La Langue des Tziganes slovaques (Język cyganów słowackich)”, napisanej na podstawie materiału zebranego podczas wycieczki autora do Słowacji.

Okazją utrwalenia pamięci profesora Kaliny była pozostała po nim biblioteka, zawierająca cenny zbiór dzieł odnoszących się do filologii polskiej i ogólnosłowiańskiej. Zakupił ją warszawski „Antykwarjat Polski”, prowadzony na wzór najlepszych tego rodzaju zakładów zagranicznych i wydał jej katalog umiejętnie opracowany i poprzedzony życiorysem profesora Kaliny, uwydatniającym jego zasługi jako wybitnego uczonego i dobrego obywatela.

J. UJDA



Tak będzie wyglądać warszawskie osiedle Muranów—Północny. (Dużo zieleni, 5921 izb, 2 szkoły, 2 przedszkola, 1 żłobek, ośrodek zdrowia, kino, poczta, garaże, wiele lokali sklepowych i rzemieślniczych. Adaptowane zostaną również częściowo i wykorzystane do celów oświatowych dawne budynki koszar Stanisławskich. CAF — Fot. Szyperko-Miedza

Już dawno w żadnym z poznańskich teatrów nie było tyle oklasków, ile po ostatniej premierze w Teatrze Nowym. Kurtyna podnosiła się i opadała, były kwiaty, Jan Perz — reżyser — też się pokazał i kolejno całował Aleksandrę Koncewicz (w rękę), Janinę Ratajską (w buzię) i Eugeniusza Kotarskiego (ibidem) — publiczności wszystko to się bardzo podobało i biła rzesiste brawo (mimo iż na sali było beznadziejnie duszno i ogórkowo). Widz poznański przyjął Moliera o wiele sympatyczniej niż częste ostatnio współczesne papki rozrywkowe, znajdując w dziele klasyka nie tylko uroczy wątek komediowy, lecz również świetną zabawę i sporo zupełnie współcześnie brzmiących aluzji. Bo też był to „Amfitrion”, komedia na odwieczny i odwiecznie aktualny temat...

Skąd biorą się te współczesne chwytające treści w molierowskiej komedii?

Sądzę, że „Amfitrion”, jak mało które inne dzieło tego autora, powstał trochę na marginesie codziennego trudu pisarza, nie bójmy się tego określenia, walczącego i uczącego. Brak więc na pierwszym planie elementów dydaktyki i polemiki, natomiast wyraźnie widać przewagę elementu zabawy i drwinki.

Jest to epoka drugiego wielkiego romansu młodego króla Francji. Znakomity mówca i taki sobie francuski książę Skarga (tyle, że o nieco innym formacie) Bossuet — bardzo miał za złe Ludwikowi XIV jego czysto fizjologiczny związek z panią de Montespan, noszący wszystkie cechy i realia przygody Jowisza i Alkmeny. Bossuet, który, w miarę swych nie małych wpływów, starał się rozbić ten związek, miał jeszcze inny grzech na sumieniu. Oto, nie cierpiąc serdecznie Moliera, walczył przyczynił się do zakazu wystawiania wcześniejszego „Tartuffa”.

Molier chwytając w lot okazję, odkłada pióro moralisty i nauczyciela — i postanawia zaskoczyć siebie z kaznodziel. Nie ma podstaw do przypuszczeń, że „Amfitrion” powstał z intencją pochlebstwa, na wyraźne życzenie rożamorowanego króla. Komedia o Jowiszu i Alkmenie jest majstersztykiem doraźnej intrygi i dworskiej zabawy: po premierze Bossuet wychodzi trochę na dudka, Ludwik XIV jest zadowolony, bo sztuka przyniosła w efekcie akt towarzyskiej tolerancji dla amatorów JKM — Molier zaś — mało się tego spodziewając — odzyskuje swą pozycję na

*) — Teatr Nowy w Poznaniu. Molier „Amfitrion”. Komedia w 3 aktach z prologiem. Przekład: Tadeusz Boy-Zeleński.

dworze, a niebawem także praca wo grania umiowanego „Świętoszka”...

Współczesnemu widzowi „Amfitrion” przynosi więc, poza piętnem molierowskiego geniuszu, także wszystkie zalety, płynące z lekkości i niefrasobliwości (może tylko po-



Scena z II aktu komedii Moliera „Amfitrion”, granej w Teatrze Nowym.

Na zdjęciu: Aleksandra Koncewicz i Jerzy Kaczmarek. Fot.: J. Myszkowski

zornej jednak?) rozbawionego swym pomysłem autora. Molier miesza w komedii antyk z atmosferą dworu Króla-Słońca, lekceważy rygory formalne na rzecz swobodnej, celnej wypowiedzi, kpi trochę z ograniczonych praw XVII-wiecznej sceny, a nade wszystko — śmieje się. I aby jeszcze bardziej dopiec Bossuetowi — jedno z najpiękniejszych swoich kwestii miłosnych wkłada w usta Jowisza, ukazując tym samym romans królewski od najlepszej (!) strony.

Jan Perz, reżyser poznański go przedstawienia, może sobie „Amfitriona” zapisać na koncie sukcesów artystycznych. Zrezygnował on nawet z tej trochę denerwującej celebry, w jaką oparł ostatnio mgiełkę romansową nad komedią Mariwauz w Teatrze Polskim. Otrzymał przedstawić zwarte, jędrne, lekkie jak tekst molierowski — a przy tym grane trochę z dystansem. Aktorzy, a zwłaszcza Marian Mirski w roli Merkurego i Eugeniusz Kotarski w roli Sozji, zdawali się nie grać — lecz „przedstawiać”: „patrzcie, jak to się świetnie można bawić. Bawcie się z nami!”.

I bawili się rzeczywiście wszyscy — prócz Jerzego Kaczmarka (w roli Amfitriona i Jowisza). Ten młody aktor dał na scenie nie postaci Amfitriona i Jowisza, lecz fotokopie nader wyrośniętego chłopaka, który nie bardzo wie, jak należy się zachować w obecności ślicznej i wcale nie obojętnej kobiety. Repertuar gestów miłosnych Kaczmarka jest nader ograniczony — odniosłem wra-

żenie, że z rolą Arlekina wyzerpały mu się wszystkie. Amfitriona i Jowisza tylko po części ratował niezłe podany tekst, treścią swą kolidujący wszakże z optyczną stroną postaci. Szkoda.

Prawdziwą satysfakcję sprawia mi każde nowe spotkanie

mistyfikację „mąż-kochanek”, zasługuje na najwyższe uznanie. Koncewiczówna osiągnęła ten efekt bez rozrzuconej gry, środkami dojrzałej, spokojnej sztuki.

Zbyt poważnie potraktowała swą rolę w prologu Bronisława Frejtażanka. Nie znaczy to jednak, że mam zastrzeżenia do sztuki aktorskiej Frejtażanki — jej „Noc”, zbyt dosłowna, po prostu rólowała jakoś z ujęciem ról Sozji, Merkurego i Kleantis. Marian Mirski, Janina Ratajska — a zwłaszcza Eugeniusz Kotarski (Sozja) dali dobry pokaz zabawy w teatr — mieli lekkość, wdzięk i dowcip, jakich wymagał tekst i koncepcja reżysera.

W pozostałych rolach wystąpili: Argatyfontydas — St. Płonka — Fiszler i Naukrates — Marian Nowakowski.

Walcie wspomógł wysiłki reżysera scenograf Zbigniew Bednarowicz. Dał on przedstawieniu oprawę pomysłową, oszczędną, ale i dowcipną zarazem. Podkreślała ona nastrój zabawy, jaki ogarnął podczas spektaklu aktorów i widzów.

„Amfitrionem” Teatr Nowy dał na zakończenie sezonu pozycję, która, dzięki swym walorom inscenizacyjnym i aktorom może okupić wiele grzechów innych premier. Otrzymałmy spektakl piękny i udany.

Michał MISIŃSKI

Wśród książek

Mickiewicz w Wielkopolsce

Pobyt Adama Mickiewicza w Wielkopolsce, który jest tematem pracy*) Jarosława Maciejewskiego, należy bezsprzecznie do najciekawszych, a zarazem najmniej znanych okresów w życiu i twórczości wielkiego artysty. Na ten okres właśnie przypada nieudana próba poety przedostania się do Warszawy i wzięcia udziału w rozgrywających się tam wypadkach Powstania Listopadowego, jaka poprzedziła udanie się Mickiewicza na powrót na emigrację i pozostanie na niej aż do końca życia. Wielkopolska, jej krajozraz, ludzie i obyczaje, musiała się więc wbić mocno w wyobraźnię i pamięć twórcy „Pana Tadeusza” jako najświeższa, a zarazem ostatnia pamiętka z ojczyzny, musiała w szczególny sposób zaważyć na kształtowaniu się wizji tej Polski, która odtąd miała odzywać, zmartwychwstawać na nowo w każdym dziele, nieledwie w każdym słowie pierwszego z polskich poetów.

Każda więc praca rozjaśniająca obraz owej Wielkopolski w życiu i twórczości Mickiewicza jest wyjątkowo cenna, zwłaszcza gdy — jak studium Jarosława Maciejewskiego — opiera się na obfitym i nie wykorzystanym dotąd naukowo materiale. Materiał ów odznacza się dużą różnorodnością i wszechstronnością, autor książki zadał sobie bowiem

wiele trudu, by zbadać i przeanalizować bogaty zbiór pamiętników i wspomnień z Wielkopolskich czasów Mickiewicza, porównać kłócące się nieraz ze sobą opinie badaczy, wyciągnąć wreszcie własne, nowe i nie cofające się przed ryzykiem hipotezy wnioski. A trzeba pamiętać, że problemów spornych jest tu niemało: samo zagadnienie braku udziału Mickiewicza w Powstaniu Listopadowym było przez dotychczasowych mickiewiczologów albo wstydliwie pomijane, albo — jak to czynił Boy-Zeleński — wykorzystywane jako argument

podważający patriotyzm poety. Tak samo do rozmiarów nieledwie pryncypialnych rozdęty został przez niektórych badaczy romans Mickiewicza z późniejszą pisarką Konstancją Łubieńską, uzasadniający wedle nich wszystko, co poeta w czasie pobytu w Wielkopolsce dokonał i... napisał.

Owych kwestii dyskusyjnych Maciejewski najczęściej nie rozstrzyga w sposób jednoznaczny i ostateczny, a jedynie dodaje nowe przesłanki i fakty, mogące poszczególnie rozwiązania sporów wzmocnić lub osłabić. Bardzo ciekawie więc wypadają próby wydobycia związków między pobytym Mickiewicza w Wielkopolsce, a ówczesnymi europejskimi ruchami wolnościowymi, które uprawdopodobniają przypuszczenie, że autor „Konrada Wallenroda” przybył na ziemię poznańską ze specjalną misją polityczną. Są to jednak — podobnie jak i w odniesieniu do kilku innych wielkopolskich epizodów w życiu Mickiewicza — tylko hipotezy, w których zamianie na pewniki nie budzące wątpliwości przeszkadza w dalszym ciągu brak wyczerpujących i wiarogodnych źródeł i materiałów. Dlatego praca Maciejewskiego posuwa naprzód i wzbogaca dyskusję wokół Mickiewicza w Wielkopolsce, ale jej w sposób ostateczny nie zamyka i nie podsumowuje.

Może na to i wpływa przebijające się raz po raz na kartach książki niezdecydowanie autora, jaki charakter winna mieć jego praca o związkach Mickiewicza z Wielkopolską: monograficzny, czy przyczynkowski, popularny, czy naukowy. W dodatku Maciejewskiemu — jak każdemu rasowemu kolekcjonerowi — żal jest uronić, wyrzucić z książki cokolwiek z faktów i hipotez, które pracowicie zestawili i zgromadzili. W rezultacie tok wykładu jest chwilami to za bardzo „mickiewiczologiczny”, to zbyt popularny i obfity w wiele zawiłości i niejasności kompozycyjnych.

Niemniej bogata, a obcho- dząca nie tylko polonistów, wiedza o Mickiewiczu powiek syła się o nową, oryginalną i interesującą pracę.

Zbigniew PĘDZIŃSKI

*) Jarosław Maciejewski, „Gdy gościł w Wielkopolsce” Poznań 1958, Wydawnictwo Poznańskie. S. 249, 1 sbb.



KAMIEŃ POMORSKI
NAD ZALEWEM SZCZECIŃSKIM

Rys.: St. Mrowiński

W obserwatorium astronomicznym w Pułkowie za-
instalowano telewizyjny te-
leskop, skonstruowany
przez pracownika nauko-
wego tego obserwatorium,
Kuprowicza. Przy pomocy
tego teleskopu udało się już
zrobić 50 zdjęć Księżyca i
gwiazd osmej i dziewiątej
wielkości. Nowe urządze-
nie składa się z normalne-
go teleskopu, do którego
przymocowana jest czuła
kamera telewizyjna, zaopa-
trzona w aparaturę wzmac-
niającą.

★

Na tegorocznych Targach
Sprzętu Domowego w Chi-
cago niebawem zaintereso-
wanie gospodyń domowych
wywołała wystawiona w
jednym ze stoisk elektrycz-
na kuchnia zdalnie stero-
wana. Gospodyni domowa
może śmiało zostawić w pie-
cyku pieczeń i wyjść do
miasta po zakupy czy do

Nowości

z kraju i ze świata

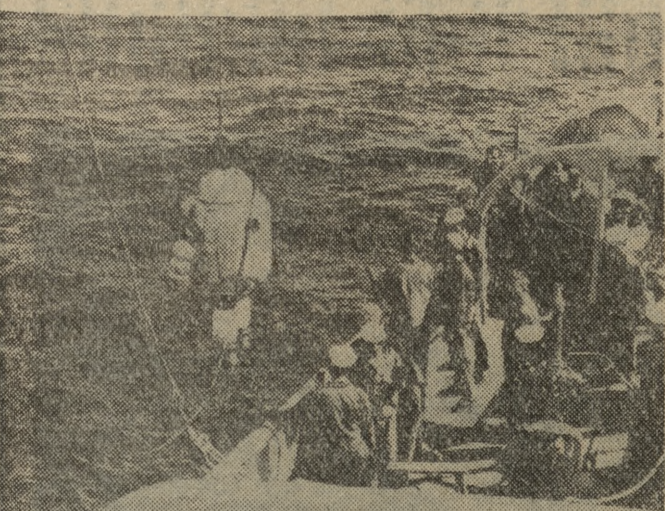
kawiarni. Może ona regu-
lować dopływ prądu z od-
ległości do 15 km, przy po-
mocy krótkofalowego nadaj-
nika kieszonego. Oczy-
wiście każda kuchnia po-
siada własną długość fali,
gdyż niejednej gospodyni
mogła by przyjąć chętką
przypalenia pieczeni u swej
sąsiadki.

★

Grupa norweskich inży-
nierów skonstruowała no-
wy model skutera polarnego.
Noże on porusza się po
śniegu, jest wygodny w ob-
słudze i, co najważniejsze,
nie zamarza nawet przy
bardzo niskiej temperatu-
rze.

★

W Akademii Nauk ZSRR
oddano do użytku nową au-
tomatyczną cyfrową maszy-
nę do liczenia typu „Ural”.
Maszyna zamiast lamp zaop-
atrzona jest w półprze-
wodnik. Na skutek małych
rozmiarów, „Ural” wyko-
rzystany jest w biurach
konstrukcyjnych, do wyko-
nywania matematycznych
obliczeń.



Próby ze specjalnie uzbrojonym skafandrem w Zato-
ce Neapolitańskiej. Skafander przeznaczony jest do
badań głębinowych i połowu ryb.

Fot. — CAF

„SEZAM” wśród najmłodszych

Teatr lalek bardzo wdzięczna forma teatru, zwłaszcza, że
zasadniczym odbiorcą tego rodzaju sztuki są dzieci. Twier-
dzenie, że dzieci są widownią niewybredną — jest z gruntu
błędne. Wprost przeciwnie — odczucia ich są o wiele śwież-
sze niż u starszych, gdyż człowiek dorosły wykazuje pewne
zniechęcenie. Dziecko jest szczere — i jeśli sztuka nie
wywrze na nim pożądanego wrażenia nie będzie się z tym
kryło. Toteż główną rolę odgrywa tu przystosowanie treści
do psychiki dziecięcej.

Formę amatorskiego teatru
lalek podjął młody poznański
poeta Julian Rynowicki z
grupy „Swantewit”. W star-
cie pomógł mu przychylny sto-
sunek Wydziału Kultury Pre-
zydium WRN i Wielkopolskie-
go Towarzystwa Miłośników
Sceny. Rynowicki napisał
tekst widowiska lalkowego w
siedmiu odsłonach, które wy-
stawił na własnej scenie opa-
trzonej nazwą „Sezam” po-
sługując się tak zwanymi
„pacynkami” (są to lalki któ-
rych główki wykonano z pa-
pier-maché). Widowisko nosi
tytuł „Przypadki Tomka Atom-
ka” i jest pierwszym z projek-
towanego cyklu obejmującego
w sposób baśniowy sprawy
popularno-naukowe. Wpływ
tego rodzaju tematyki ma wiel-
kie znaczenie na kształtowa-
nie się pojęć w umyśle dzie-
cka zwłaszcza w wieku szkol-
nym.

Oto krótka treść widowiska:
Uczony posiada księgę zawiera-
jącą tajemnice atomowe. Wykra-
dą ją czarownik Abom ponieważ
atomy mogą zmieniać piasek w
złoto. Dowiaduje się o tym To-
mek Atomek. Dzięki swojemu
sprytności i pomocy widzowi od-
biera czarownikowi księgę, by
zwrócić ją uczonemu. Ten dopie-
ro ją przeczyta i nauczy ludzi
rozkazywać atomom, by pomaga-
ły im w pracy.

★

Ambicja „Sezamu” jest pod-
obiecie przede wszystkim terenu.
Mały teatrzyk ma tę dobrą
stronę, że jest bardziej opera-
tywny i to bez nakładu po-
ważniejszych kosztów. A cze-
kają przecież wioski i mia-
steczka, gdzie teatr lalek
dociera nie częściej niż
raz na kilka lat. Jest to
dla nich nie lada wydarzenie.

Do najbardziej udanych
spektakli „Sezamu” należą
przedstawienia w Dobrzycy
pow. Pleszew, Koninie i Kole,
gdzie miejscowe środowiska
należycie doceniły tę inicjaty-
wę. Sukcesem jest na pewno
przejście teatrzyku przez Pań-
stwowe Przedsiębiorstwo Im-

prez Estradowych „Estrada”
jako zespołu pomocniczego.

„Sezam” pozostawia jeszcze wie-
le do życzenia, mamy na myśli
same lalki oraz stronę plastyczną.
Dekoracja widowiska w odróżnie-
niu od tekstu jest jeszcze zbyt
tradycyjna i nie wykazuje dążeń
do nowoczesnego skrótu.
Przypuszczamy, że Rynowicki
dojdzie również do swoich racji
artystycznych.

J. S.

WĘDROWKI PO STARYM POZNANIU

Przyzwyczajaliśmy się dziś
już i do „Praskiej Wio-
sny”, i do „Warszawskiej Je-
sieni”. Interesujemy się fe-
stiwalami różnego kalibru,
emocjonujemy się szlachet-
nie albo i nieco niekiedy cyr-
kowo konkursami szopenow-
skimi czy Wieniawskiego.

Ale pewnego roku było i
„Poznańskie Lato” — lato pol-
skiej pieśni. Dziesiąty Zjazd
Walny Śpiewacki w dniach
28 i 29 czerwca 1914 roku.
Odbył się w przededniu I
wojny światowej; pieśń pol-
ska zabrzmiała wtedy w Po-
znaniu tak potężnie jak nig-
dy przedtem.

Zjazd śpiewacki w czerwcu
1914 r. oczekiwany był przez
poznajskie społeczeństwo ze
szczególnym napięciem, stał
się też przeżyciem społecz-
nym o historycznym znacze-
niu. Nie ma też przesady w
tym mniemaniu.

Wprawdzie nie przystro-
jono miasta na powitanie
gości, „jak to w innych przy-
padkach się dzieje” — pisał
sprawozdawca „śpiewaka” —
„ale za to tysięczne twarze,
twarze ludności polskiej gro-
dy Przemysława, były w tym
dniu jakieś inne, pogodne,
jasne, z wszystkich białe radość,
wesołość, to wesołość w twarzach,
ta radość w oczach, to było
wszystko, czem polski Po-
znań witać mógł ukochanych
braci — gości”!

Na 130 kół śpiewaczych, nale-
żących do Związku, czynny u-
dział w zjeździe i konkursie wzię-
ło 21. Nie licząc delegacji z in-
nych dzielnic i polskiego wy-
chodźstwa. Był to sukces nie-
bywały w dziejach zjazdów
polskich organizacji w okresie
sprzed I wojny światowej. Był
to niewątpliwie i polityczny
ewenement, tak go też rozumia-
ły obie zainteresowane strony
Polacy i władze pruskie. Pieśń
polska, rozbrzmiewająca z roku
na rok coraz donośniej, atako-
wała i była słyszana w całej
Europie.

Pierwsza popłynęła „Bogu Ro-
dzica”. Z rana, pierwszego dnia,
w kościele farnym, nabożeństwo
odprawił ks. Dr Jerzy Kozłowski,
późniejszy prefekt Gimnazjum im.
Bergera. Imponująca, atletycz-
nej postawy, budził niebywały
respekt u swych wychowanków.
Rękę miał w tej odpowiedzi cię-
żką, i wydawać się mogło z po-
zoru, że, ten wyrosły i mało ra-
czej uśmiechający się ksiądz jest
czystej krwi apostołem litery i
prawa. Trzymał bractwo sztabac-
kie krótko i surowo, ale wypra-
szał konferencyjnej surowości
niejednego winowajcę. Kiedy mu
na szkolnym nabożeństwie za

Coctail atomowy przed nożem chirurga

Izotopy stosuje się obecnie
nie tylko dla leczenia chorób,
ale i do ich wykrywania. Naj-
większym zaś osiągnięciem me-
dycyny w tej dziedzinie jest
możliwość rozpoznania schorze-
nia w tzw. stanie bezobjawo-
wym, kiedy lekarz ma najlep-
sze gwarancje całkowitego wy-
leczenia choroby.

Jak działają izotopy w orga-
nizmie chorego? Z bardzo lic-
nych przykładów wybierzemy
kilka: oto np. po chirurgicz-
nym usunięciu raka tarczycy
istnieje niebezpieczeństwo
przerzutów — i aby się przed
nimi uchronić, wykorzystuje się
choremu tzw. „coctail atomo-
wy”, czyli wodny roztwór ra-
diojodu. Jod szybko działa na
wszelkie fragmentaryczne prze-
rzuty — ich gruczołki wchłania-
ją go, jod zaś niszczy je całko-
wicie.

Radiofosfor wstrzyknięty do
żył niszczy skutecznie pewne
typy nowotworów mózgu —
bez zabiegu chirurgicznego.
Jod, zastosowany w odpowied-
nim związku chemicznym, lo-
kalizuje i pozwala szybko wy-
kryć nowotwory mózgu — a w
tym wypadku szybko wykry-
cie choroby jest szczególnie
ważne. Przy chorobach krwi
typu rakowego radiofosfor
działa skutecznie zarówno w
przypadku leukemii (nadmiaru
ciałek białych), jak i policy-
temii (nadmiaru ciałek czer-
wonych).

Skuteczniejszy i tańszy od
radu jest radiokobalt — obec-
nie wprowadzany w naszych
instytutach onkologii. W walce
z nowotworami daje również
dobre wyniki radiozłoto — je-
den z najtańszych izotopów
promieniotwórczych.



Koło z Berlina w pochodzie... (pochód skręca przed zam-
kiem ku ul. Libelta).

BYŁO TAKIE „Lato w Poznaniu”

ciężko „wiera śpiewała”, potra-
fił w środku mszy dokonać ra-
pownego zwrotu w tył, krzyknął
na cały kościół: „głosniej”, i rów-
nie szybko wrócił do liturgii. Na
takie szturchnięcie nie tylko
„szczury” się ożywiały, ale i or-
ganista rzetelnie dudlił. Kiedy
jednak ten „groźny” kapłan umarł
w roku 1932, około pół setki stu-
dentów i uczniów utraciło dy-
skretnego opiekuna, wspierające-
go ich finansowo. Większość tych
„stypendystów” nie miała poje-
cia o pochodzeniu otrzymywanych
sum.

Wróćmy jednak do Zjazdu.
Po przedpołudniowych pró-
bach, o godz. 12 drużyny za-
częły gromadzić się w ogro-
dzie Lamberta. Nie wiecie
gdzie się mieścił? Ano był to
ówczesny pasaż „Apollo”. Tak
więc stamtąd ruszył pochód
zjazdowy do Urbanowa.

Za orkiestrą — sztandar Koła
poznajskiego, a dalej: członko-
wie głównego Wydziału Związku,
i „wąż olbrzymi”, lśniący w słoń-
cu barwnymi kolorami, pochód,
jakiego chyba i starsi ludzie w
Poznaniu nie pamiętają. Koła
wielkopolskie, organizacje z kre-
sów południowych, drużyny zna-
d Gopla, a dalej organizacje śląskie,
przedstawicielstwo okręgu bran-
denburskiego, liczna grupa Związ-
ku Westfalsko-nadrenskiego. Stro-
je ludowe obok kreacji bardziej
światowych, różnobarwne czepe-
i chusty przemieszane z kolistymi

O rybich zyciorysach, „ciasnym” Bałtyku i ekonomii widelca

Rybę przyzwyczajaliśmy się oglądać na pół-
misku: faszerowaną, w majonezie, w galare-
cie, i nie każdemu łatwo jest uświadomić
sobie, że ryba może być przedmiotem nie-
słychanie żmudnych badań. Np. żeby po-
znać „zyciorys” dorsza, wiek, jego lata tuste
i chude, trzeba przekroić i zbadać pod mi-
kroskopem ni mniej, ni więcej, tylko około
10 tys. otolifów tj. kamyków słuchowych tej
ryby. Łusosł i sandacz natomiast swoją „me-
trykę” wypisaną mają na... łusce. Jakie ryby
mają drogi przepływowe, jak reagują na na-
rzędzie połowów, jaki pokarm i w ogóle jakie
warunki najlepiej sprzyjają ich rozwojowi,
rozmnazaniu itd. — to niewielka część za-
gadnień, nad którymi pracują naukowcy z
Morskiego Instytutu Rybactwa. A mówi się
o tym z podwójnej okazji: niedawnych Dni
Morza (które wzmogły nieco w naszym mor-
skim państwie zainteresowanie sprawami
morza) i ukończenia przez MIR 35 „wiosny”
swego istnienia. Czy chlubnego? Zresztą
mówią o tym fakty.

Rok 1923. W małym domku
na Helu mieściła się
nowo organizowana placówka
badawcza. Jedynym jej pra-
cownikiem był obecny dyrek-
tor naukowy MIR prof. dr K.
Demel. O naszym morzu wie-
dziano niewiele. Dziś insty-
tut zajmuje okazały gmach w
Gdyni, zatrudnia 170 pracow-
ników, w tym profesorów, do-
centów. Ma 5 statków i nowo-
czesną aparaturę do prac nau-
kowo-badawczych. Jeśli mia-
rą pracy naukowej jest to, co
się ogłosiło drukiem, to ta
miara jest tu wcale pokązna:
już po wojnie instytut wydał
250 ważniejszych pozycji (w
tym 36 książek) nie licząc ar-
tykułów i publikacji popular-
nych. Wydany ostatnio Atlas
Rybacki Morza Północnego

nawet w krajach o dużych tra-
dycjach morskich zdobył sobie
opinii nieporównanego. Zresztą
całokształt pracy MIR-u
jest wysoko ceniony przez
międzynarodowe organizacje
naukowe, w których instytut
reprezentuje Polskę i bierze
udział w kongresach: Między-
narodowej Rady Badań Morza
i organizacjach gospodarczych
przy ONZ. O zasięgu i powa-
dze jego prac naukowo-bada-
wczych świadczy choćby fakt,
że MIR utrzymuje kontakt,
wymienia praktyki, konsultu-
je ze 152 instytutami nauko-
wymi na całym świecie. (Głów-
nie jednak z placówkami nau-
kowymi NRD i ZSRR). Z waż-
niejszych prac bieżących wy-
mienić należy badania na
Morzu Północnym wspólnie z
naukowcami NRD nad przebie-
gami ławic śledzia, bazą po-
karmową, selektywnością nar-
zędzi połowów. Z okazji Mil-
lenium instytut przygotowuje
monografię Bałtyku. Będzie
to wielkie dzieło 38 autorów,
który utrwała na piśmie
wszystko to, co w ciągu 1000
lecia zdołano dowiedzieć się
o naszym morzu; o jego hi-
storii, biologii, wydajności eko-
nomicznej itd. Ogromną pra-
cę podjęto w związku z 15-
letnim planem rozwoju gospo-
darki rybnej w kraju. Łączy
się on z koniecznością badań
zasobów surowca, analizy
rynku ekonomicznego, propo-
cji zaopatrzenia ludności w
białko, opracowania koncepcji
rozwoju morskiego przemysłu
rybnego, baz rybackich itd.

Wobec szerokiego zamiarów tego
planu Bałtyk i Morze Północne
stały się już za „ciasne”. Dlatego
też przed MIR-em stoi zada-
nie przeprowadzenia badań na dal-
szych morzach. W niedalekiej
przyszłości nasza flota rybacka
będzie udawać się na połowy: na
Morze Barentsa, wody północnego
Atlantyku, rejon Nowej Funlan-
dii i Wysp Niedźwiedziej, wody
grenlandzkie. Przemysł ma już na
wet zaplanowaną budowę na da-
lekie łowiska statków-fabryk, któ-
re do portów przywozić będą go-
towe filety. Tymczasem MIR, ko-
ry powinien „przygotować pole”
do najlepszej eksploatacji tych jed-
nostek, t. zn. zbadać możliwości
i najlepsze sposoby połowów na
nieznanych wodach, stanął wobec
niemałej trudności, braku statku
do prac badawczych o dalekim za-
sięgu. Statek jest inwestycją dro-
gą, ale w tym wypadku chyba o-
płatna. Tym bardziej że poza
badaniami, już teraz trzeba opa-
nować technikę połowów, oraz
szkolić przyszłych kapitanów przy-
szej floty, która ruszy na dalekie
morza po ceną zdobyczą-rybę.

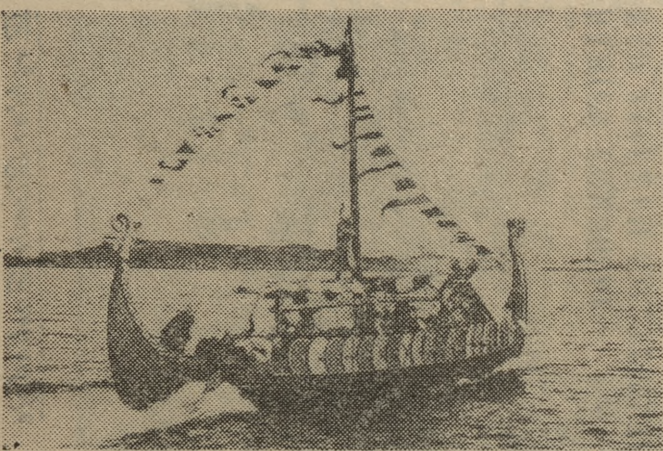
Warto wiedzieć, że dla wie-
dzy o rybach buduje się przy
MIR wielkie akwarium, gdzie
w basenach zgromadzone będą
ryby z wielu mórz. Dotychczas
akwarium morskie wybudowa-
no w Kalkucie, Kopenhadze i
w księstwie Monaco. Oprócz
popularyzacji pozwoli ono prze-
prowadzać eksperymenty z za-
kresu fizjologii ryb.

Zofia CHOJNACKA

P. S.

Malkontent spyta: jeżeli bada-
nia morza przebiegają w Polsce
tak dobrze, to dlaczego wiosenne
ławice szprot, które nas nawie-
dzały stały się „kieską”. No cóż
— naukowcy uprzedzali przemysł
o nadchodzącym „urodzaju”, ale
przemysł — niestety — nie przy-
gotował się do rybackich prognoz
i zmarnował obfitość szprot, jaka
nie występowała u nas od 1938 r.

Wiktor TUTEJSZY

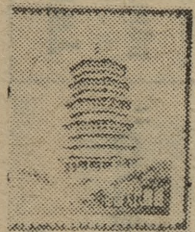
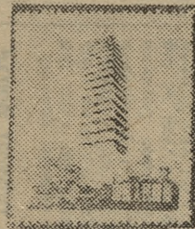


W Chińskiej Republice Ludowej ukazała się seria znaczków przed stawiające stare pagody.



Na ciemno-brązowym znaczku za 8 fen pokazano świątynię Sung-Yo-Shi, znajdującą się w Tenfeng w prowincji Ho nan.

Niebieski znaczek przed stawia pagodę Chien Hsin w miejscowości Tali, w prow. Yun-nan.



Na brązowym znaczku pokazano Shih Chia, pagodę w Yingshien w prowincji Shansi.

I wreszcie na ostatnim znaczku tej serii, który wydrukowano w kolorze ciemno-zielonym, widzimy Fel Iung, pagodę znajdującą się w miejscowości Hungchao, również w prowincji Shansi.



22 lipca startuje ze stadionu WKKE balon „Poznań”, który zabierze ze sobą przesyłki wysłane w specjalnych „kopertach balonowych” z urzędu pocztowego Poznań 1 (al. Marcinkowskiego). Koperty należy wysłać już w poniedziałek, 21 bm.

Mgr L. K.

Na spacerze

Szliśmy wzdłuż wybrzeża.

— O, jaki ładny kamyk, — powiedziała. — Schowaj! A ten z różową kropką? A tamten maleńki, z drobnymi punkcikami?...

Poruszałem się coraz wolniej, kieszenie pęczniały coraz bardziej.

— Zobacz, ten maleńkiutki, zielonciutki! A tamten, z żółtą plamką... No, jeszcze tamten, ostatni!

Po tym ostatnim przechodzący milicjant kazał mi zapłacić mandat. Obraziłem moralność publiczną. Pasek nie wytrzymał...

WIRUS

Tego lata turyści zwiedzają norweski fiord Hafr — gdzie przed 1000 lat odbyła się wielka bitwa morską — na pokładzie statku zbudowanego na wzór dawnych łodzi Wikinów.



Pierwsze spotkanie

LESZNO — ongiś Leszczno, stąd przymiotnik leszczyński. Osadę mieli założyć Wieniawici z niedalekiego Karmina. Pierwsza wzmianka z 1393 r.

Pasowanie Leszna na miasto odbyło się w r. 1547, metrykę wydał Zygmunt Stary. W tym samym roku przybyli tu Bracia Czescy, którzy później założyli swoją szkołę. Rafał III hrabia na Lesznie w XVII wieku był panem 17 miast i 116 wsi. Jego syn Bogusław I bił się pod Beresteczkiem, wnuk — Rafał X szedł z Janem III Sobieskim na Wiedeń, prawnuk — Stanisław (Leszczyński) nie zapomniał o Lesznie, w 1765 roku przekazał miasto i ziemie, które do niego należały, państwu polskiemu. W 1793 roku miasto zostało wcielone do Prus. W 1807 roku miasto zostało wcielone do Francji. W 1815 roku miasto zostało wcielone do Prus. W 1918 roku miasto zostało wcielone do Polski. W 1939 roku miasto zostało wcielone do Niemiec. W 1945 roku miasto zostało wcielone do Polski. W 1954 roku miasto zostało wcielone do Polski. W 1975 roku miasto zostało wcielone do Polski. W 1990 roku miasto zostało wcielone do Polski. W 2015 roku miasto zostało wcielone do Polski. W 2020 roku miasto zostało wcielone do Polski. W 2025 roku miasto zostało wcielone do Polski. W 2030 roku miasto zostało wcielone do Polski. W 2035 roku miasto zostało wcielone do Polski. W 2040 roku miasto zostało wcielone do Polski. W 2045 roku miasto zostało wcielone do Polski. W 2050 roku miasto zostało wcielone do Polski. W 2055 roku miasto zostało wcielone do Polski. W 2060 roku miasto zostało wcielone do Polski. W 2065 roku miasto zostało wcielone do Polski. W 2070 roku miasto zostało wcielone do Polski. W 2075 roku miasto zostało wcielone do Polski. W 2080 roku miasto zostało wcielone do Polski. W 2085 roku miasto zostało wcielone do Polski. W 2090 roku miasto zostało wcielone do Polski. W 2095 roku miasto zostało wcielone do Polski. W 2100 roku miasto zostało wcielone do Polski.



grał polskiego tronu królewskiego, rzucił koronę i pojechał do córki, aby pełnić rolę teścia króla francuskiego Ludwika XV. Dobra od niego kupił Aleksander Sułkowski — z „nieprawego” łóża syn Augusta II. Ten buńczuczny magnat całe życie dął koty ze swoim bratem Augustem III, który nieraz za niego płacił dług.

J. P.

SŁÓWKO

o „KOSTIUMOLOGII KĄPIELOWEJ“

Kostium kąpielowy, jak każda rzecz noszona przez kobiety, podlega nakazom mody. Na szczęście nasze panie pod tym względem okazują wiele rozsądku, i nie bardzo dają się zwieść dyktaturze mody, która obecnie lansuje powrót do stroju naszych babek — także gdy chodzi o kąpielowe kostiumy.

Bardzo pochwalamy ten rozsądek. Bowiem moda modą — ale kostium winien przede wszystkim potwierdzać praktyczny sens swego istnienia: mianowicie służyć zdrowej kąpiel i korzystaniu ze słońca.

Toteż wymyślne faibanki i rekawki polecamy wyłącznie tym paniom, które chcą zaimponować innym na sopockim moście. A ponieważ większość kobiet ubiera kostium po to, aby kąpać się i opalać — trudno powiedzieć, aby owe kostiumowe modne rewelacje przyjęły się powszechnie.

Ale nie o modzie chcieliśmy pisać. Popatrzcie na zdjęcie. Niestety — nie możemy dokładnie powiedzieć, z jakiego okresu pochodzi rysunek u góry. W każdym razie — takie kostiumy noszono kilka dobrych wieków temu. Zdziwiałoby — jak mało różni się ten antyczny model od współczesnego „bikini”.

W średniowieczu nie o kostiumach nie słyszano. W ogóle trudno powiedzieć coś o kąpielach pań żyjących w tamtych latach. Był to bowiem okres zapęty szczelnie po szyję. Aż dziw, jak w ogóle ludzie mogli żyć wtedy w letnie upały. Z całą zaś pewnością żyli na bakier z podstawowymi zasadami higieny. Dowodem tego może być choćby ten fakt, że piękne damy wielkich dworów europejskich nosiły małe, złote kowadełka, służące do uśmiercania żyłatek, zamieszkujących ich peruki. Tylko nieliczni możni posiadali własne większe miednice. Codzienne ablucje potężnych kroków ograniczały się do maczania palców w misie wody. Natomiast sowsie używano pachnideł...

W XVIII wieku pojawiają się wprawdzie różne kąpielowe szelongi i „baniary”, ale używano ich nader rzadko i tylko w wielkich domach. W całym średniowieczu kąpiel była równoznaczna z pojęciem grzechu.

Dopiero w latach trzydziestych ubiegłego stulecia zaczęto dostrzegać konieczność higieny. Powstały dziwaczne dla nas wanny-fotele i pierwsze nieśmiałe próby łaźni. Z kostiumów kąpielowych możemy zaprezentować naszym Czytelnikom model A. D. 1910. Jak widać na zdjęciu, ówczesny kostium przypominał nieco strój szermierzy.

Z biegiem czasu coraz więcej centymetrów kwadratowych skóry udostępniano błogosławionemu działaniu wody i słońca. Dwa lata temu były modne kostiumy „bikini” — obecnie widzimy na plażach kostiumy jedno i dwuczęściowe. Nosi się je „bez niczego” — tzn. bez koralów, klipsów i bucików na wysokim obcasie!

I jeszcze jedno: nigdy nie było mody pokazywania się na plaży w... hałeczkach. Niestety — nad Rusalką można dostrzec niejedną „dame” w tym stroju. Posądzamy, że panie w bałkach po prostu nie zdają sobie sprawy z tego, jak pocieszenie i niechlujnie wyglądają. Inaczej chyba nie pokazywałyby się tak publicznie...



Kostiumy typu „bikini” nie wyjdą z użycia. Pozwalają bowiem na maksymalne korzystanie ze słońca. Te koraliki — to tylko niedopatrznie. Do kostiumu nie nosi się ani koraliki ani klipsy!

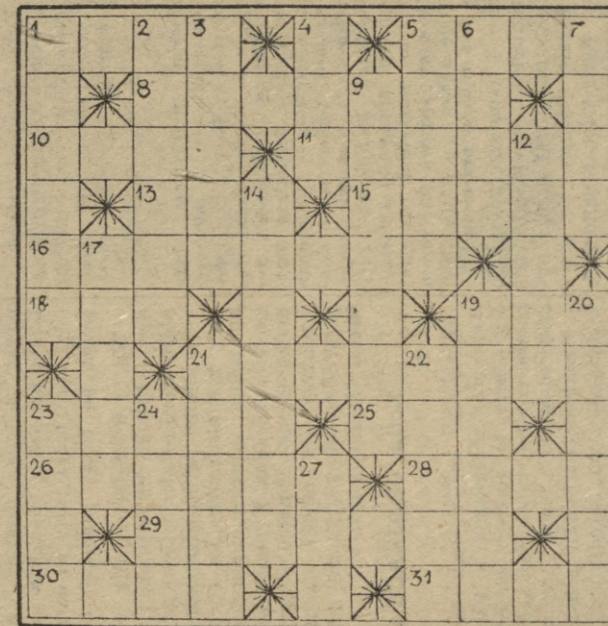
w ukt. L. Rudkowskiego

KRZYŻÓWKA

Poziomo: 1 — tłuszcz rybi, 5 — nazwa znanej pustyni, 8 — zasłona, 10 — odcinek czasu, 11 — mebel wysciany, 13 — pierwiastek promieniotwórczy, 15 — wstawił się m in. spaleniem miasta, 16 — słuchacz wyższej uczelni, 18 — zwierzę domowe, 19 — 100 ludzi, 21 — zespół rur centralnego ogrzewania, 23 — hasło, 25 — mocne piwo angielskie, 26 — roślina ozdobna, zawilec, 28 — młodziwiec w starożytnej Grecji, 29 — przeczenie, zaprzeczenie, 30 — baran, 31 — zwierzę drapieżne żyjące w Polsce (wspak).

Pionowo: 1 — narodowy taniec rosyjski, 2 — przyrząd, urządzenie, 3 — natarcie, atak, 4 — skorupiak, 5 — masyw w Tatrach, niedaleko Gerlachu, 6 — pora dnia (wspak), 7 — kraj arabski, 9 — przypawa do ciasta, 12 — opłata pocztowa, 14 — dziesięć przykazań biblijnych, 17 — święta księga Islamu, 19 — imię zwycięzcy spod Pskowa, 20 — wynik pracy górnik, 21 — zdrobn. imię męskie, 22 — szeroka ulica, 23 — umowa międzynarodowa, 24 — reńfery, 27 — super.

Wśród autorów poprawnych odpowiedzi rozlosujemy nagrody książkowe. Termin nadsyłania: 24 bm.



Piękny (i modny!) model kostiumu jednoczęściowego (duże wycięcie na plecach).